1843. Nr. 17. Rok 2.

PRZEGLĄD NAUKOWY

Treść: Świat i poeta. *Poezija* przez M. Morżkowskiego. — Biblijoteka. Dijalog. I. Scena na wsi. II. Scena w domu szambelana, p. K. Lodwalskiego. Dopisek Redakcyi. — Listy z Krakowa napisał Józef Kremer O. P. Dr. przez E. D. (przegląd). — Wiadomość o życiu Solskiego. Część druga i trzecia (dokończenie) p. E D. — Kronika piśm. pols.— Korrespondencija. — Nowości.

SWIAT i POETA.

Naprzód łzawe jękły tony...
Potém głosów milijony...
Potém... ale któż wypowie
Śpiew słowika w ludzkiéj mowie.

Jan Nepomucen Jaśkowski.

Na serca tronie,
W gwiazd milijonie,
Zasiadł poeta.
Serce brzemienne.

Czoło promienne,
Z prawdy myśl spleta.

Wiosenne kwiecie,
Mroźne zamiecie,
Skryło całunem;
Myśli boleją,
I z piersi leją,
Gorzkim piołunem.

Lub znowu krocie
Dumek, w przelocie,
Przygrywa w dali.
W tém struna pęka,
Poeta klęka –
I Twórcę chwali.

Po co te pieśni?
Świat życie prześni
I w głosek tłumie.
Gdy ducha skąpi,
Głos myśl zastąpi,
Duch nie zrozumie.

Czarna — ponura —
Poetę — chmura
Od świata dzieli;
On za tą chmurą,
Więc mu ponuro —
Ludźie weseli.

A jego gody?...
Gorzkie jagody

I łzy — wspomnienia —
A tłum szaleje,
A tłum się śmieje
Z wieszcza natchnienia.

Bo na tym świecie,
Cóż po poecie?
Cóż po piosenkach?
Kiedy swobodnie —
Kiedy wygodnie —
W złotych sukienkach.

Michał Morżkowski.

BIBLIOTEKA.

DYJALOG.

I.

Scena na wsi.

Pokój pana Antoniego cały zastawiony szafami, w nich bogato oprawne księgi, w około obrazy. Stół wielki przy oknie, założony papierami i książkami. — Pan Antoni siedzi przy nim i pisze.

SZAMBELAN. *(otwierając drzwi)*

Upadam do nóżek waćpana dobrodzieja — a czy nieprzeszkadzam?

PAN ANTONI. *(wstając uprzejmie)*

Dla miłego sąsiada i gościa czas niestracony.

SZAMBELAN.

Komplimenta mości dobrodzieju — komplimenta: u takich, jak pan dobrodziéj — czas drogi. *(oglądając w około*

pokój) Powiedz mi waćpan dobrodziéj, czy przed śmiercią *(daj ci Boże Matuzalowe lata)* potrafisz przeczytać wszystkie te księgi?

PAN ANTONI.

Już je oddawna przeczytałem — a coraz się więcéj zbiór bogaci — wychodzi dzieł tyle, że ledwie można nadążyć czytać. Dziękuję Bogu, żem doczekał tak bogatéj chwili dla literatury naszéj.

SZAMBELAN. *(z podziwieniem)*

Przez miłego Pana, mości dobrodzieju — chcesz mnie zdurzyć! czy podobna? tyle foliałów przeczytać! a to trzeba miéć ze dwanaście oczu, a do każdego oka osobną głowę! Nie żartuj zdrów sąsiedzie.

P. ANTONI,

Mogę zaręczyć słowem.

SZAMBELAN. *(przerywając)*

No wierzę ci dobrodzieju! ale nie może mi się pomieścić w głowie, na co się to przyda ślęczenie takie; a przyznaj, że to bez uszczerbku gospodarki być nie może. Czytać tyle książek, takie szafy ogromne! Mamci tam jednę podobną, ale to, dobrodzieju, apteczka dawna, w niéj ratunek zdrowia i przekąski żołądkowe.

P. ANTONI.

Niewiem dla czego pan utrzymujesz, że to przeszkoda do gospodarki.

SZAMBELAN.

A tak, tak, dobrodzieju.

P. ANTONI.

Teraz więc wyspowiadajmy się szczerze z użycia czasu, słucham jak pan dzień cały przepędzasz.

SZAMBELAN.

Bardzo dobrze, zaraz ci dobrodzieju opowiem, a przekonasz się, że mam racyją:

Na wieczór, przed kolacyą, przychodzi ekonom i gumienny, piję do nich wódeczkę, czystą anyżówke, bo ja nie jestem arystokrata i pamiętam o swych ludziach, co cały dzień w pocie czoła pracują. Siadam, jak w zimowéj porze, przed kominem, i parę godzin upłynie nim się ugadamy i zgodzimy na jutrzejszą dyspozycyą — ja tak, ekonom siak, pop swoje czort swoje, jak to nie trzeba ci, dobrodzieju, mówić. Po zwalczeniu argumentów — staje dyspozycya rozumna, bo na wytrawnéj dyspucie oparta. Potém jem kolacyją — i po modlitwie do łóżka! Śpię jak bobak, choćbyś z armaty dobrodzieju strzelił, to się nie obudzę tylko o swéj godzinie. Rano, punktum latem o piątéj — w zimie o szóstéj zrywam się, i sam panie dobrodzieju budzę czeladź, i muszę nieraz dobrze grzmocić, nim wszystko rozbudzę, szczególniéj w zimie rozmarzone. Musi wszystko być na nogach, choć dnia nié ma. W parę godzin robota się otwiera, porządnie, bom pobudził i dał wczoraj dyspozycyją. Wracam więc sobie spokojny i lulkę kurzę i drzymię nieco: jużci objedna godzina. Łyknę kielich anyżówki, zjem co Bóg dał, pogawędzę z moją żoną, pokrzyczę na rozpustną dziatwę, zapalam lulkę, drzymię nieco — aż

ci już zmrok—jak w zimię. Latem zaś, nad wieczorem przejdę po podwórzu i idę znów spać, żeby rano wstać: bo to dobrodzieju niedaremna przypowieść:

„Kto rano wstaje,
Temu Pan Bóg daje.“

Gdzież tedy mogę znaleść chwilkę do czytania? Ja Kuryjera lub Gazetę z całego tygodnia składam na Niedzielę lub święto, aby mi co ciekawszego przeczytał dyrektor po objedzie przy lulce — a wy, dobrodzieju czytacie takie stosy ksiąg, i to bez uszczerbku dozoru i pilności gospodarki wiejskiéj.

P. ANTONI.

Równie szczerze opowiem panu mój sposób życia, trzymając się także przypowieści: „że pańskie oko konia tuczy“ sam wszędy jestem, nie spuszczając się na nikogo. Latem o 4 rano wstaje i nie wracam aż o 6, dopóki cała robota w ruch nie pójdzie. Potém śniadanie — od 7 do 10 czytam i piszę. Siadam na konia, objeżdżam, aby ocenić postęp roboty. O jedenastéj wytchnę chwilę po pracy. O 12 objad. Po południu obchodzę robotę — bawię z żoną i dziećmi — poczem znów siadam na konia, towarzyszę fornalkom zwożącym siano i zboże — policzam kopy użęte — wieczorem gospodarski rachunek — idę na spoczynek. W zimie wstaje o 4, czytam do 6 lub 7 dopóki dzień nie rozświta, poczem osobiście przyglądam roboty wskazanéj. Godzina 5 już wieczór. Wtedy zostaje aż nadto czasu do rozrządzenia, czy bawić się rozmową, czy czytać. Tak dzień po dniu przeczyta się niemało — zbogaci umysł bez szkody gospodarskiego dozoru.

SZAMBELAN.

Fabuły to, dobrodzieju, fabuły: a wiesz o tém, dobrodzie-

jaszku, że z tak żelaznêm zdrowiem może sam jesteś w kraju, co mówię, na całéj kuli ziemskiéj. Gdzież to słychane rzeczy, tak męczyć co dzień ciało i głowę.

P. ANTONI. *(z uśmiechem)*

Gdybym te szafy — w miejsce książek — napełnił winem, likworami, wódką gdańską.

SZAMBELAN. *(przerywając)*

Nie róbże mi dobrodzieju oskomy na te delicyje...

P. ANTONI.

Wódką gdańską — anyżówką domową — serem, bakaliami i starym miodem wypełnił, a wprowadziwszy cię szambelanie i wskaznjąc powiedział, że wszystko to zjem i wypiję w lat kilka.....

SZAMBELAN. *(w uniesieniu, przerywając policzywszy pułki)*

Ja bym to zjadł i wypił w jednym roku.

P. ANTONI.

Czy uwierzyłbyś mi pan wtedy?

SZAMBELAN. *(w radości)*

Uwierzyłbym i dziwiłbym się nad umiarkowaniem twojem, dobrodzieju, bo ja, policzywszy pułki, i miasto tych gratów niepotrzebnych ustawiwszy myślą butelki, gąsiory, karafki — zo-

stawując stosowne miejsce na ser, słoje suszonych śliwek do przegryzki po anyżówce, a które tak wybornie przyprawia moja Małgosia; policzywszy do tego i miejsce na pierniczki migdałowe, korzenne, i z samym pieprzykiem — na suchy owoc, smażony, na gruszki w miodzie maczane, orzechy w miodzie zatopione, śliwki marynowane na sucharki z cukrem i cynamonem, które tak lubię — i na inne drobiazgi, tak konieczne do gospodarstwa wiejskiego, ja ci głową moją ręczę, że w ciągu roku, nawet nieprzestępnym, chociażbyś dobrodzieju każdy miesiąc na 25 dni obliczył jeno, zjadłbym, wypił, i zdrów jak ryba, spał jak dziecię niewinne.

P. ANTONI. *(z uśmiechem)*

To dobry apetyt, jest czego powinszować.

SZAMBELAN. *(miarkując swoje uniesienie)*

No, to się tak mówi tylko w zaufaniu.

P. ANTONI.

A ja jednak wierzę ci szambelanie, chociaż jak niewierny Tomasz kręciłeś głową, gdym ci zaręczył, żem wszystko czytał. Co mógłbyś zjeść i wypić to je......

SZAMBELAN. *(przerywając)*

To wcale co innego, to nie popsuje oczu, nie szkodzi zdrowiu, ale owszem pomaga; a i to miło, mieć dla sąsiada butelczynę jaką, starego wina lub miodu

P. ANTONI. *(wołając)*

Macieju, przynieś-no tego wina z pułki, co to starsze od twojéj siwizny.

SZAMBELAN.

Alem ja się nieprzymawiał......

P. ANTONI.

Nie posądzam cię, szambelanie, ale nie chcę żebyś sądził, żem gromadząc tyle dla głowy i serca, zapomniał o żołądku.

SZAMBELAN. *(kosztując przyniesione wino)*

Hm! dobre, wyborne — myszką na dobre trąci — i obrączka spora, jak oliwa osiada — a niechże cię, dobrodzieju, uściskam; dawnom nie pił takiego staruszka *(wącha)*. Co to za woń! tylko waćpan dobrodziéj przyłóż do nosa. Hę, a co? — to sto lat zdrowia przybędzie?!

(popijając rzeźwo)

Ale wracając do naszéj rozmowy — Choćbyś mnie i pobił swemi argumentami, czego nie tuszę, przecież mi nie zaprzeczysz, że biblioteka djable wyciąga grosiwo z kieszeni.

P. ANTONI.

Prawda — ale wino i wódka nie mniéj kosztuje.

SZAMBELAN. *(popijając)*

To wcale co innego, dobrodzieju, tamte rzeczy niezbędnie potrzebne, tak jak ptakowi powietrze, rybie woda, a tu dogadza się fantazyi. Proszę, na ten przykład: po co czytać gazety co poczta? kiedy ja i bez tego u sąsiada się dowiem, jak przyjadę w święto w odwiedziny; nie, to na jarmarku — nie, to mi żydek faktór najlepiéj opowie. Po co czytać książki? — czy się człek nie naślęczał dosyć w szkołach! nie jeszcze człowiekowi porządnemu, gospodarzowi, ojcu dzieciom, jak żak do książki zaglądać? alboś to dobrodzieju jezuita, albo ksiądz professor pijar? co tak męczyli ojców naszych! Na co mi więcéj rozumu od professora? a on, choć się temu poświęcił, pewnie z piasku bicza nie ukręci! Wreszcie, powiem ci dobrodzieju, że te wszystkie gospodarcze książki djabła warte. Gospodarstwa upadają! dla czego? to książki zrobiły. Z ugoru trzech polowego gospodarstwa, choć masz łąk i pastwiska dosyć, to się śmieją. Jakże tu i święta ziemia ma rodzić, kiedy nie dają jéj wytchnąć w ugorze, tylko razwraz przewracają a sieją koniczyny i prawią, że ona sprawia grunt, że go mierzwi. Bajki, fabuły, co gnój to gnój, a co ziółko to ziółko! Ona wyssie wszystko z ziemi i będzie pusta jak ta butelka.

(P. Antoni daje znak, Maciéj stawia drugą).

Książki to przewracają świat do góry nogami — zaraz żydów wygnano z arendy — odebrano karczmy — i każdemu gospodarzowi skurczył się mieszek. Gospodarują na nową modę i cóż mają? — biada! niepomni dawnéj przypowiastki: „kiej biéda, to do żyda“ — teraz i to zubożało, nié ma czém trząsnąć, a bywało u mego pana ojca — arendarz, jak tr

ba było pieniędzy, tylko rudą brodę pogłaskał — zaraz trzos złota na stół. Ja mojemu pachciarzowi, żebym po włosku czarną brodę wyiskał, to ani setnéj cząstki nie ma. — Ziemia nie chce téż rodzić, co posieję po kartoflach przenicy, to kłosy jak niemczyków łytki — a rzadkie jak wąsy młokosa. — Książki to wszystko narobiły — jabym je spalił a nie kupował.....

MARYJA. *(żona Pana Antoniego wchodząc)*

O czémże pan szambelan tak żywo rozprawia?

SZAMBELAN. *(całując w rękę)*

Nasamprzód upadam do nóżek asani dobrodziejki, moja Małgosia ślicznie dziękuje za przepis na konfitury, kosztowałem — wyborne!...

P. ANTONI.

Pan szambelan, moja Maryjo, tak na książki powstał — dostało się i właścicielowi biblioteki.

MACIÉJ.

Już na stole.

SZAMBELAN. *(podając rękę Maryi)*

Nie mówmy na teraz o tém — i nie psujmy sobie apetytu *(wychodzą)*.

II.

Scena w domu Szambelana.

Na kominie wielki ogień, przy nim w krześle siedzi szambelan, drzémie i fajkę pali, przed nim mały stolik z butelką i jadłem. Żona Małgorzata ostrożnie stawia owoce smażone

SZAMBELAN. *(marząc)*

Wino wyborne — kapłon z serdelami przedziwnie smaczny, a majonezik cudowny.—Teraz uznaję, że można i książki czytać i miéć głowę nie dla kształtu....

(zbudzony przeciera oczy)

Aa! tom już w domu — to ty moja Małgosiu szambelanowo — *(patrząc na stolik)* moje przysmaczki. Dziękuje ci mój ty aniele stróżu, ale nic nie będę jadł, chyba z kieliszek dla strawności.

MAŁGORZATA.

Cóż ci się stało szambelanie? — taki kawał drogi przetrząsłeś się!

SZAMBELAN.

Prawda rybeńko — alem się porządnie objadł u tych za-

cnych Antoniostwa. Bo wasani masz wiedziéć, moja szambelanowo — (a był to zwyczaj, że się małżonkowie dla pamięci sąsiadów ciągle tytułowali, dla tego że ojciec żyjącego i grzejącego się potomka, był drążkowym szambelanem króla Stanisława) — że mnie przyjęto *honeste*. Zacni to państwo. Siadajże rybeńko, opowiem waszeci wszystko co do joty. — Zajeżdżam, a kazałem Matusowi trzaskać z bicza, ale osioł pukawkę nasmarował tłustością i szczur wstajni ugryzł — a nie widział tego. Macha, macha a tu nic nie słychać. — Wchodzę, zastaję Pana Antoniego w bibliotoce. Powiadam ci szambelanowo, że mnie mróz przeszedł, spojrzawszy na tyle książek w ogromnych szafach! Pytam, czy przeczyta kiedy? — on mi wręcz, że już wszystkie czytał. Ja mu palę drugi argument, że czytanie szkodzi gospodarce — on powiada: nie. Dopiero ja, jak zacznę mu opowiadać ile się przez dzień napracuję, że ani chwilki nie mam wolnéj do czytania, spuścił nos na kwintę — przeargumentowałem go zupełnie, aż w tym zacna małżonka jego nadeszła — i zaproszono na objad. — W pół objadu zjeżdża się liczne grono młodzieży — myślę sobie: będą pili, ja im łeb twardy pokażę — gdzie tam! zaledwie któryś kieliszek wina skosztował wołają: wody! wody! Czy to skończenie świata? myślę sobie. Po objedzie, a był suty, powiadam ci szambelanowo, i porządniem boki wyładował sobie — mnie podano fajkę, reszta gości każdy do kieszeni i zapala cygaro. No, choć to nie smaczne w gębie, ale wygodnie dla gospodarza, bo mniejszy na tytuń wydatek. Pan Antoni prosi do biblioteki, wchodzę już śmieléj, spojrzałem na te stosy książek, bom się z niemi zapoznał w dyspucie. — Myśle sobie: tu się dowiem o cenie zboża najprędzej, jak okowita stoi. Gdzie tam, wyobraź sobie szambelanowo — choć to byli wszystko szlachta ziemianie, z roli żyjący, każdy, jak po cygaro sięgnął do kieszeni i wyjmują różnéj wielkości książki. Myślę: czy się modlić będą? — wszakże nie kościół: a oni nuż pokazywać sobie

jakieś w nich rarytasy, nuż w głos jakby żaki deklamować — a wszyscy z wlepioném okiem w czytającego, słuchali jak chłopi kaznodziei. — Ja palę lulkę — już mi się i drzymać odechciało, słucham, a wszyscy byli bardzo grzeczni dla mnie.

Jeden, co najwięcéj czytał, zbliżył się do mnie, prawił komplementa i powiedział w końcu: że jestem jakiś *typ,* czy *typ,* czy *sznyp* rzadkich już teraz ludzi. Choć nie zrozumiałem wyrazu, ale po uszanowaniu zmiarkowałem, że to nie drwiny. Odpowiedziałem więc przyzwoicie, kończąc komplementem: że miłoby mi było widzieć wszystkich pod swoim dachem. Jeden z nich dowiedziawszy się, że waszeć, szambelanowo Małgosiu, masz starą apteczkę, aż podskoczył z radości, że przecież o czém tyle czytał zobaczy w istocie.

MAŁGORZATA. *(z radością)*

Czy doprawdy?

SZAMBELAN.

Ma to być jakiś uczony, co pisze starożytności, zbiera wiadomości o starych gratach — Otóż nasłuchałem się wiela nowych rzeczy: o kolejach żelaznych, co po nich bez koni jeżdżą, tylko tam jest jakoś, opowiadał mi jeden — ale niepamiętam dobrze, — że tylko podpalą, wody naleją, i bzik! leci szaleństwo prędzéj jak ptak. Mówili mi, że nie żydzi nasi, faktorzy, targ stanowią, ale potrzeby Anglii, — dość powiadam, że szambelanowo, że jechali aż do Ameryki, a podobno byliśmy i w Australii, bo niepomnę. Tak to ślicznie prawili, że ja, jak mnie znasz Małgosiu, przepraszam szambelanowo, choć stała butelka djable wąsatego pleśniami węgra, przez trzy godziny jeno pół większe wypiłem. — Dopiero jeden wystąpi, jak zacznie prawić o potrzebie uprawy ducha, o czytaniu i

pracy umysłowej — pobił mię — rozbroił. Gospodarz spojrzy z ukosa, a ja milczę jak zaklęty — alem w duchu myślał: sprawię ja wam niespodziankę. Honor nasz szlachecki, ba i szambelański wymaga tego. Słyszałem jak mówili ze zgrozą, że tylko kalendarz składa całą bibliotekę szlachcica — otoż ja wam pokażę przeciwnie. Każesz rybeńko, szambelanowo, dyrektorowi dzieci zaraz pójść na górę, znieść szafę ze szkłem, przywołać co tchu żyda, niech wprawi szyby; z dwóch pak dobyć księgi, okurzyć i znieść w porządku, dzieci pomogą znosić. Tu mi stół drugi przysunąć i układać — dziś nie śpię, choćby noc całą, aż wszystko przejrzę, uporządkuję.

MAŁGORZATA.

Ależ mój gołąbku! szambelanie! zaszkodzisz sobie.

SZAMBELAN.

Tu nie o zdrowie, tu idzie o honor. Śpiesz się moja dzieweczko — i zróbcie jak kazałem.

Przerażona Małgorzata takim zapałem do nauk swojego bobaka, dopełniła zlecenia — żyda przywiózł *Matus* galopem, co wprawił szyby do szafy. Szambelan przed ósmą wieczorem już ustawił na pułkach wszystkie książki, wtedy usiadł przed kominem i w te przemówił słowa, wobec żony, dyrektora i zdziwionych synów. — „Słuchajcie, nie dosyć jest jeść i pić, bo to i zwierze musi i potrzebuje, ale trzeba myślić o głowie, by w niéj pstro nie było, nie latały sroki; trzeba myślić o sercu i o duszy. Nie dojdziecie tego inaczéj, jeżeli nie będziecie uczyć się i czytać. Człowiek do saméj śmierci musi się uczyć, aby poznał że jest głupi. To wam radzę. Zebrałem wam skarby ważniejsze jak moneta: księgi. Jam to słyszał od ludzi, którzy mają szafki większe jak szambe-

lanowéj, matki waszéj a mojéj miłéj małżonki, apteczka.— Jutro przyjadą tu sąsiedzi, ludzie młodzi ale uczeni — Waćpani szambelanowa okażesz im wszystkie starożytności swoje— tylko je każ okurzyć i ze śniedzi oczyścić. A tu przy kominie niech stoi stół, gdzie spoczywam, i te księgi com wybrał niech leżą. Przekonałem się wczoraj, co znaczy człowiek...... (Tu się zaciął, chciał powiedzieć *głupi,* i po namyśle dodał).

—Co znaczy człowiek, gdy nie czyta i nie idzie z czasem. Dla tego waćpan, panie dyrektorze, nie pozwalaj, jak dotąd, wróbli wykręcać ze stodół i z wierzb — zaganiaj do nauki, a gazety co poczta regularnie odbierać i zaraz mi czytać.— Dobranoc! spać chłopcy a rano wstać.

* * *

Pani szambelanowa, zdumiona, przerażona, patrzała w milczeniu, co się stało mężowi. Jeszcze jak z nią żyje (a już odbyli srebrne wesele) tak długo i z taką powagą nie mówił, ani tak uczenie! Szambelan zmęczony, siedząc w ksześle, nie drzymał ale sam prawił do siebie „Daj Boże by z téj zmiany co lepszego było!"

Po czém ze stołu sprzątnął kalendarz, wróżący pogody, deszcze i mrozy, położył w tém miejscu starą kronikę, i zadumany poszedł spocząć strudzony. — Kiedy po modlitwie i życzeniu dobréj nocy swojéj poczciwéj Małgosi, legł na łożu, usłyszała te zcicha wyrzeczone słowa: „Boże daj na lepsze!"

K. Lodwalski.

DOPISEK REDAKCYI.

Dijalog ten zamieszcza redakcija nie dla tego, że pochodzi z pióra znakomitego i zasłużonego w piśmiennictwie naszém autora i badacza, lecz dla tego: że między szlachtą wiejską wielu bardzo jest panów szambelanów. Może téż który, zobaczywszy zmianę w podobnym sobie, zechce się tak-że poprawić, a Przegląd— choć ani myśli dla szlachty pisać i zamieszczać artykuły — sądzi jednak, że nie będzie sprzeczném z jego dążeniem, wyrażoném w godle *„Miłość Ludu“* zamieścić czasem i urywek zmierzający ku temu, aby *niektórzy* otworzyli sami na siebie oczy.

LISTY Z KRAKOWA

Napisał JÓZEF KREMER O. P. Dr,

Tom piérwszy. W Krakowie, w drukarni Uniwersyteckiéj, nakładem autora. 1843. *w* 8. *większéj, str.* 412.

(PRZEGLĄD)

Podwójną jest droga ducha postępu: wprost wykształceniem pojęć spółecznych, i pośrednio wyrobieniem myśli filozoficznéj. Oba tory — jako tylko różne oblicza jednego rozwijającego się ducha postępu ludzkiego — mają, i z założenia koniecznie miéć muszą, jeden cel, oba téż zalety właściwe sobie i niedogodności mają. Bezpośrednie wykształcanie pojęć spółecznych szybciéj prowadzi do celu, mniéj pewnym jednak jest torem. Wyrobienie filozoficzne myśli powolniejsze, leniwie zmierza ku stanowisku, które zajął już jéj rączy spół towarzysz, postęp spółeczny — często utkwi na jakiejś skały abstrakcyjnych szczytów odłamie, lub rozpryśnie się i skrzywi tór swój — z mglistego powietrza wyżyn umysłu, zstępując na ziemskie rozłogi; — jednak to filozoficzne wyrobienie myśli staje po długiéj wędrówce, po mozolnéj i gruntownéj pracy u celu, a budowa, jaką na niewzruszalnéj *naukowéj* podsadzie wzniesie, jest wieczystą, i nieugnie szczytu

wierzycy swojéj przed powodzią ognistych nieba gromów, ani przed wyrzutem piorunnym żarów, z przepaścistych ziemi wulkanów.

Spojrzmy na rozwijające się uspółecznienie dzisiejszéj Europy. Tu Niemcy z jednéj strony pochodem powolnym, zawiłym, w mgłach abstrakcyi zatopieni, zdaje się, że tylko drzymiąc ku postępowi zmierzają; tam znów lekka i pełna życia, ale wiotka myśl francuzów pędem pioruna i wprost ku celòm widocznym, jasnym zmierza. Jakiż wypadek toru przez dwa wielkie przebieżonego Ludy? — jeden i ten sam.—Jeden i ten sam — ale u Niemców wyrobiony gruntownie, u francuzów wyrobiony z życiem i pełnią natchnienia. Niemcy podobni są do lekarza, który zadając pigułki, wie przyczynę dla jakiéj taki, a nie inny skutek zdziałają — francuzi do lekarza, który wie tylko o skutku, ale dla czego on zajdzie, o to się nie troszczy, albo fenomen zaszły tłumaczy sobie powierzchownie tylko.

Ależ który tór jest lepszym? — gdy idzie o sam cel, zdaje się, że droga prostsza, krótsza, bezpośrednio jest lepszą. Zapewne! ale w wielkiéj sprawie *wychowania się,* czy pojedynczych osób, czy ludów, idzie o pewność, że do celu dojdą — a jeśli dąży torem bez filozoficznego wyrozumowania go sobie, jak-żeż łatwą jest rzeczą zwichnąć się w dążeniu! — Pewność, że się postępowo rozwinie, jest prawie żadną — gdy przeciwnie, na podsadzie naukowéj, filozoficznéj. oparte dążenie, choć powoli postępuje, choć się często zabłąka, zatrzyma, niezawodnie w końcu toru, w pełnym życia kwiecie postępu wywinie się.

Tór wyrabiania myśli filozoficznéj przedstawia następujące, wynikłe z logicznéj konieczności oblicza:

I. Wyròbienie stanowiska filozoficznego.

II. Przejście w żywot, czyli w czyn.

III. Rozwinięcie się w żywocie.

Według tego, trzecie oblicze jest dopiero objawieniem się właściwéj myśli postępowéj, która jest zaraz początkiem samym rozwijania się ducha, nie zaś aż trzecim stanowiskiem w wykształcaniu pojęć spółecznych; lecz ilekroć do tego stanowiska filozofija przyjdzie, postęp przez nią sprawiony jest olbrzymim — nagradza się opóźnienie sprawione przez to, że się szło dalszą drogą. — W torze takiego rozwijania się i wyrabiania myśli filozoficznéj, mogą zajść następujące zwichnienia myśli postępowéj:

a. Osiągnienie niewłaściwego (więc zastarzałego) stanowiska filozoficznego.

b. Zwichnięte przejście w żywot.

c. Nieprzejście w żywot.

Trzy te zwichnięcia często się znachodzą i boleśnie serca prawe i postępowe rozdzierają. Niezdobycie sobie stanowiska spółczesnego, właściwego w filozofii, najmniéj jest bolesném; jątrzy ono tylko, gniewa, że ludzie nie chcą myślić i pracować, oburza, że rozprawiają o tém, czego nie zgłębili, czego nie rozumieją. Jesteśmy codziennie jednak w takim przypadku: oswojony więc z nim każdy szermierz postępu! i ileż to razy trzeba — osobom nawet niby wykształconym — dowodzić, że czasy Loków, Condillaków, Kantów, Fichtych, minęły; że inna teraz Wiedza rozwinęła się! — gdzie tam! ani słuchać cię zechcą, ani zechcą rozumiéć. To znów, gdy porzucimy dziedzinę filozofii, a zwrócimy się do innéj, iluż to tysiącom bedziem musieli dowodzić, jak olbrzymie są zasługi wieku zeszłego! ale ani sposób przeciwników przekonać, bo oni *nie znają*, wcale nie znają wieku XVIII, i Bóg wié jakiego tam sobie upudrowanego, dworackiego raroga, za wiek XVIII biorą.

Prawdziwie bolesnym jest dopiéro widok Męża, który zdobywszy sobie filozoficzne stanowisko, zdawał się rokować, iż będzie zorzą postępu, a jako ślimak w martwéj zawrze się

skorupie i.... zamrze dla życia, w todze filistrowskiéj pedanteryi i nie wprowadza w żywot wyrobionéj myśli filozoficznéj — lecz najprzykszejszym nas przejmuje bólem, bez zaprzeczenia, widok, iż Mąż takowy myśl swoję wprowadza w żywot, lecz sprowadza ją zwichniętą — wykrzywioną, fałszywą.

W ostatnim przypadku jest właśnie pan Józef Kremer w swych *Listach z Krakowa.*

Z boleścią przychodzi nam czynić Mu tak wielki zarzut, z boleścią, powtarzamy, nie dla czczéj formy wymuskanéj grzeczności, bo nam konweniencyje są niczem, lecz dla saméj istoty rzeczy, dla samego talentu i zasług Kremera, jego upadek bolesny nam. Wolelibyśmy stokroć, żeby był odstąpił od dzisiejszéj filozofii, żeby nam się przeniewrzył, żebyśmy w nim mogli mieć wroga — walczyć z nim byłoby nam jeszcze bolesną rozkoszą; ale widzieć Męża tylu zasług, Męża, który piérwszy wraz z zacnym Karolem Libeltem, piérwszy w polskiéj mowie szerzył zasady filozofii Bezwzględnego Stanowiska, a szerzył je mową tak jasną, tak cudnie kwiecistą, przystępną, ludową, że po wieki wzorem zostanie wysłowienie myśli abstrakcyjnéj; widzieć tego Męża tak młodych dążeń i młodego zapału, widzieć go zabijającego postępowość w rozwijaniu dziedzin umysłowych — to jest okropném, przerażającém! — to już wszelki zapał i wszelką odbiera odwagę.

Spójrzyjmy na *Listy z Krakowa:* oto filozofija Umnictwa, czyli sztuk pięknych, wyłożona, niby mową potoczną, w listach, jasno, przystępnie; w niéj jeszcze brzmi owa pełna, jędrna, cudna mowa, tocząca się jasnym kwiecistości strumieniem; oto zasady jeszcze te same bezwzględnéj filozofii, — a wszystkość jednak, którąśmy chwycili do ręki pełni uwielbienia i zapału — całość jest chromą: bo nietylko, że nie ma dążenia postępowego, lecz przeciw temu grzeszy. — Dowodów na to żadnych nie potrzeba — weźmy kilka ustępów, np: stronnica 340, 341, 168 — 170, lub 223 do 229 i 99 do 101 —

i t. p. i t. p. a przekonamy się najdowodniéj o tém, i smutkiem przejmie się serce nasze.

Zwracając się teraz do samych Listów — uważanych w sobie, bez względu na ten okropny upadek w wprowadzeniu wyrobionéj myśli filozoficznéj w życie, bez względu na pewną niemoc stąd wynikłą a po całości rozlaną, — przyznamy autorowi zasługę wielką wykładu dostępnego, ścisłego, jednak w ramki martwego szematyzmu nie wtłoczonego; wykładu mową cudną, kwiecistą, zasad filozofii umnictwa wedle stanowiska bezwzględnego; — mielibyśmy prawo żądać od czci godnego autora świeższych jeszcze pojęć rozjaśnienia zasad umnictwa, jakie podali Ludolf Wienbarg, Hotho — a w krytyce Heine, Gutzków, Laube, Mundt, nie mówiąc już o postępach najświeższych, które mogły być autorowi nieznane, na które mógł się nie zgodzić jeszcze, — ale pomijamy te żądania, mówiąc bowiem bezstronnie, i wykład filozofii umnictwa, według jeszcze piérwotnego stanowiska bezwzględnego Wiedzy, jest dla wyrobienia się pojęć estetycznych niezbędnym — autor i tak wielkiego dokonał dzieła. Nie można także autorowi zarzucać, jakoby się zupełnie ściśle miał trzymać wykładu estetyki Mędrca berlińskiego; trzyma on jéj się w ogólnym zarysie — nie rzadko przecież, w szczegółach odstępuje od niéj — stąd jednak niezawsze na dzieło Kremera spływa korzyść: w ogólności, gdy pomysł nie wzlatuje siłą potęgi własnéj, lepiéj dlań, by się tulił ściślej pod skrzydła olbrzymiego genijusza, który mu dał życie, inaczéj — choć szczęśliwy w niektórych rysach — często — mimowiednie nawet, mniéj będąc wynikłym, w rażące usterki popaść może i popada. — Gdy jeden *poprawia* drugiego, nie zaś z gruntu go przerabia albo rozwija, tam zawsze dwoisty żywioł znać, tam zawsze całość jest niezupełną i jako posąg nie jednym wyciosany dłótem, lecz sklejony z odłamków, wygląda.

Spojrzyjmy na całość *Listów z Krakowa*, by je lepiéj poznać.

Autor — co nam dość bolesno — zaczyna od grrzeczności i ukłonów, od usprawiedliwień i nieśmiałości jakiejś, która była wyborną w czasach Stanisławowskich, lecz teraz nie tylko, że jest już wcale nie na dobie, ale razi. Przyzwyczailibyśmy się może do fikcyi autora, że pisze do jakiegoś tam przyjaciela — ale po co mu się uniewinniać? po co tę — nam czytelnikom — uzpełnie obcą i przez to samo obojętną osobę wprowadzać, odnosząc się do jéj indywidualności, która nas nic nie obchodzi, boć nam wszystko jedno: czy lubi ten pan — do którego listy są pisane — wieczorne przechadzki lub nie, szczególniéj, gdy autor nie określił téj indywidualności tak, aby ona była ważną pod względem zarzutów, jakieby jego teoryjom czynić mogła. Pojmowalibyśmy to odnoszenie się — gdyby i przyjaciel autora odpowiadał mu na jego listy, rozwijał jego myśli lub przeczył im, wchodził w polemikę, — słowem, gdybybył na cośkolwiek przydatny. — Ale powróćmy do dalszéj osnowy Listów. Autor, zakończywszy wstęp swój, w drugim liście, ogólny rzut oka na sztukę (Umnictwo) przedstawia nam; tu może za wielka rozwlekłość; dowiadujemy się wprawdzie, że sztuka jest sama sobie celem, że zasmakowanie w sztuce jest oznaką uduchownienia się czasu, że ona jest ogniwem łączącém świat duchowy z materyjalnym, że jéj dzieje są dziejami rozwijającéj się potęgi ducha ludzkiego, — lecz zakończa znowu oklepaną nieprawdą, zbitą już tyle razy, a mimo to, za prawdę podawaną: iż w świecie chrześcijańskim sztuka straciła wagę swoję względnie do téj, jaką miała w świecie greckim. To mylne zdanie wyrzekł był i Mędrzec berliński, dodając wszakże: iż umnictwo, w chrześcijaństwie, ma stronę duchową silniejszą niż stronę zmysłową — że jego piętnem nie jest więc już piękność, równowaga ducha i materyi, jaka się urzeczywistniła i wyczerpnęła w świecie

umnictwa greckiego." — Mędrzec więc berliński wyrzekł jasno: iż umnictwo jest teraz owszem wyższém niż było w świecie greckim, lecz jego żywiołem nie jest już *piękność*. Według myśli Mędrca berlińskiego (wiemy o tém), iż piękność ma być żywiołem umnictwa, ale nie żywiołem koniecznym istnienia jego — boć on sam istnienie umnictwa średniowiecznego (chrześcijańskiego) i obecnego przypuszczał i uznawał. Pan Kremer najmylniej, lubo w licznem gronie wielu spółczesnych badaczy umnictwa, piękność za *jedyny* a przynajmniéj najważniejszy żywioł umnictwa uważa, stąd wnioskuje (i z innych równie mylnych powodów) że umnictwo straciwszy piękność, straciło i ważność społeczną swoję. Lecz zaiste, równém jest poniżeniem umnictwa miéć je za naśladowanie przyrody, jak za objaw *piękności,* boć piękność, koniec końców, choć jest stokroć wyższą nad zabawkę, jest jednak jedném z bardzo niskich, bardzo chromych odbić ducha bezwzględnego — niebiańskości człowieka.

W Liście trzecim autor rozwija rzecz o prawidłach i ustawach w sztuce, i najsłuszniéj, równie prawidła na wzorach przyszłości oparte, jak na abstrakcyjném rozumowaniu potępia, wyrokując, że „Czas głuchy w sobie i bez treści wierzy jedynie w prawidła" — Niemniéj słusznie samo natchnienie, bez wykształcenia, uważa autor za niedostateczne dla mistrzów w dziedzinie umnictwa. W tym liście charakterystyczny szczegół znajduje się, który przytaczamy dla wskazania, jaka to oświata, jaki duch panował u nas w r. 1812, to jest ledwie lat temu *trzydzieści;* może spojrzawszy na ten rys charakterystyczny, ludzie niewierzący w postęp, choć domyślą się, że on istnieje i dzielnie się rozwija str. 45, 46, 47 i 48 — wypis nasz w miejscach oznaczonych cudzo - słowem („ ") nie jest dosłowny. Autor mówi: Tak bez końca mógłbym ci wynajdywać przykłady dowodzące jawnie, iż zawsze, albo przynajmniéj często, czas prawideł jest czasem biédnym dla nauk i

sztuk, i że wszystkie reguły nie zdołają ożywić umarłego już ducha, ale po cóż mamy tego szukać przykładów po obcych? — mamy tu pod ręką najtrafniejszy, bo swojski. W epoce tak jałowéj dla literatury, jak epoka księstwa warszawskiego, zdarzyło się, iż w roku 1812 na wniosek „*swego prezesa*“ Towarzystwo war: P. N. uchwaliło: iżby dobrze było, aby *raz na zawsze (!!!)* spisać sobie *prawidła* wszystkich rodzajów poezyj: — *aby* (odpisuję dosłownie) *smak dobry ustalić* i *zdrową ugruntować krytykę:* Ksiażka ta nie miała nic mieć nowego, ale jedynie uznane już zasady w jasnym porządku wystawić: *podać niewzruszone sztuki przepisy (!!!)*. Myśl tę prawie powszechnie przyjęto, bo cóż wygodniejszego jak miéć receptarz pod ręką, gdzieby jak na leguminy, *blanmanże* i konfitury, można znaleść przepisy i sposoby robienia dobrych hymnów, słodkich sielanek i smacznych tragedyi. Wzięto się tedy co żywo do roboty. Członkowie lubujący w poezyi rozebrali różne jéj gałęzie między siebie, prace ich miały być niby przygotowawcze i materyjałem do owéj książki. — Na p. Franciszka Wężyka padła kreska, by prawidła tragedyi napisał. Ciekawy jest téż bardzo sąd T. P. N. o pracy pana Wężyka, a napisany, niewiem z pewnością przez kogo. Mam ten akt przed oczyma, udzielony mi uprzejmością pana W: datowany 2 Maja 1814 r. — A iście jest to ważne źródło historyczne do ocenienia wyobrażeń owczesnych, bo one tu nam płyną niby z piérwszéj ręki. — Dzieło całe, jak widzisz, miało być posągiem doskonałym i wieczno-trwałym, którego osobne części mieli wyrabiać artyści różni, każdy osobnym swym dworem, wedle własnego pojmowania rzeczy i smaku swojego — a potem dopiero tę części miały być złożone w jeden posąg, w potwór. Ani ci się będę rozwodził nad całą treścią téj odpowiedzi — dość na tém, że praca pana W: odrzuconą została, a to z pięciu powodów, z których ci tylko trzy wyminię — wystarczą, jak myślę. *Naprzód* powód piér-

wszy: *iż autor mówiąc o dramatycznéj poezyi, wspomniał jedynie o tragedyi i komedyi, pomijając inne rodzaje, a mianowicie operę.* Powód drugi: *ze wzorami autora więcéj byli, jak się zdaje, pisarze angielscy a mianowicie Shakspeare, o którym nie można młodzieży powiedzieć: haec vos exemplaria nocturna versate monu — versate diurna.* Powód trzeci: *że autor nadto pozwala powstawać przeciw uznanym już powszechnie prawidłom, do czego z uszczerbkiem dobrego smaku, pisarze niemieccy obszerne już i pochopne otworzyli pole:*

Czyż nie warto było tém przytoczeniem zająć czytelnika?

List czwarty — ma piękny cel: okazać ze sztuka nie jest naśladowaniem natury, — tu jednak sposób, w jaki się wziął do rzeczy autor, niezadowala nas. Dowodzenie jego jędrne, kwieciste, poetyczne, dzielne, nie wystarczyłoby jednak dla przeconanego inaczéj, tak-że jeden z użytych dowodów, ani przekonywającym ani tém mniéj nie jest prawdziwym — autor bowiem powiada: iż najpiękniejsza strona przyrody, lasy brazylijskie, przed potopowy świat i t. d., są okryte przed okiem człowieka; tego tak-że, lubo już mocniejszego dowodu samoistności sztuki, przyjąć nie możemy, iż sztuka naśladowań, jako niższa od naśladowanéj natury, niepotrzebną byłaby, — bo równie jak na piérwszy zarzut odpowiedzieć można: że cóż ma do rzeczy, iż jeszcze piękniejsza natura istnieje lub istnieć może, od naśladowanéj w sztuce? tak w drugim razie, stronnicy naśladownictwa natury odrzec mogą: iscie! sztuka téż nie jest potrzebną! jest to tylko nasze bawidełko! — Dowód, że naśladowanie natury, np. figury woskowe rodzą obrzydzenie, jest daleko już wyższym i bardziéj przekonywającym. Autor z prawdziwego toru, wyższości umnictwa nad przyrodę i nad wszelkie naśladownictwa, schodzi jednak w końcu listu, gdy mówi — istnie bezmyślnie — o poniżeniu umnictwa str. 100.

List piąty rozważa stosunek sztuki do zmysłów i do ro-

zumu. — Tu autor równie przewagę jak brak zmysłowości w umnictwie, jako tegoż poniżenie uważa, a wystawia, jak sztuka nie może przed trybunałem rozumu stawać, ani pojęć ogólnych rozumowych tworzyć i wyrażać, pojęć, które przystoją raczéj Allegoryi. W umnictwie, twierdzi autor najsłuszniéj, nie pojęcie rozumowe, ogólne, oderwane, wyraża się, lecz charaktery istniejące odrębnie każdy dla siebie, w całości swéj wywyrażają jakąś ideję, tak w Szekspirze, tak w Leonardzie da Vinci.

W Liście szóstym objaśnia autor stosunek sztuki do uczuć. Uczucia uważa p. Kremer jako od woli niezależne, nikłe i przemijające stany duszy, przeto za niezdolne do sądu utworów umniczych; tu niedość wynikłe, niedość wzniosłe stanowisko, autor, równie wyrzeczeniem wzmiankowaném jak i następnemi: że uczucia są dzielnym umnictwa żywiołem, oraz że piękność może być tylko względem strojności (harmonii) uczucia i rozumu, słusznie ocenioną — wyrzekł prawdę, odkreślił ją jednak niedość bezwzględnie. W tym liście autor zwraca uwagę na Michała Grabowskiego i dzisiejszą francuską literaturę, swoje uwagi wtłaczając w rzecz listu jako ustęp. P. M. Gr. nad nasze spodziewanie został uczonym, niewiemy za jakie zasługi, bo tych nié ma i niemiał. Literatura zaś francuska została, nieboga, zeszkalowaną i złajaną — biédna téż ta francuska literatura dzisiejsza! — choć jak słońce jasném jest i widoczném jéj posłannictwo, wielu go pojąć wcale a wcale nie mogą.

Następne dwa Listy 7 i 8 poświęcił p. Kremer wyłożeniu Istoty sztuki, i jéj stosunku do wiary i filozofii. Ten stosunek zupełnie fałszywie i niewynikle został oznaczony, jak spodziewać się mogliśmy po upadku autora w Wprowadzaniu wiedzy w żywot,— jednak autor nawet niżéj stoi niż Mędrzec berliński, chociaż i ten olbrzymi genijusz w tym przedmiocie

pobłądził. Od p. Kremera nie mamy prawa żądać, aby stał wyżéj niż stanowisko bezwzględne filozofii w zarodzie swoim, to jest: w jego Twórcy — ale mamy prawo żądać i żądamy, aby nie niżéj od spomnionego stanowiska pozostawał. Co do oznaczenia Istoty umnictwa, tę autor odkreśla zupełnie i dobrze, lubo bez zaprzeczenia za obszernie, wdając się w rozwlekłości niepotrzebne. Autor za istotę umnictwa uznaje: objaw nieskończoności w tworze zmysłowym.

List dziewiąty zajmuje się wykładem rzeczy o Ideale. List dziesiąty rozważa świat właściwy dla ideału: Sytuacije, Kollizije, Działanie, Pathos i Charakter. W tych dwóch ostatnich, piérwszego tomu listach, wstapił więc autor właściwie dopiero w dziedzinę umnictwa. Określiwszy Istotę ideału, autor rozważa jego stosunek do rzeczywistości, wyższość nad tę; dostrzega strony idealnéj w obrazach szkoły holenderskiéj — w dziełach Kocka, Kraszewskiego i Boza, następnie znowu przywodzi różne, dosyć rozwlekłe a ściśle z przedmiotem niezłączone przedmioty np: zdanie Cycerona o Fidijasie — powtarza oklepane a mylne zdanie: że boleść bez granic nié ma miejsca w Ideale — stosuje to do komiczności. W następnym zaś liście uznaje, także niezgodnie z prawdą: że światem ideałów jest świat bohaterstwa — i pięknie a zgodnie z prawdą, Sytuacije, Kollizyje, Działanie, Pathos i Charakter w umnictwie odkreśla. Pożegnanie czytelnika, stanowiące przyobiecanie napisania szczegółów filozofii umnictwa i tegoż dziejów. Spełnienia tegoż przyobiecania z upragnieniem czekamy — bo chociaż w dziele p. Kremera, i stanowiska niedostateczność, i rozwlekłość zbytnią a niepotrzebną, i usterków mnogość napotkaliśmy, zawsze je wysoko nader cenimy, jako bardzo przystępny wykład zasad, choć nie zawsze prawdziwych, do prawdy jednak wiodących — wykład mową cudną, pojęciem jasmem celujący.

Aby teraz, przejrzawszy całość, dać wyobrażenie o sposobie obrabiania szczegółów, przytaczamy słowa autora str. 393 i dalsze, gdy mówi autor o fantastycznych postaciach.

Ktoś powiedział, iż są chwile święte, co ciszą głęboką, uroczystą, pokrywają naturę i serce człowieka; gdy drzewa, skały, kwiaty, wody, liście milczą nieporuszone, gdy muszka nie zaszeleści, łąka nie przemówi, obłoki nawet złote zatrzymają się w swym polocie, wtedy, niby dzieci marzeń i ułudy z własnych piersi, unoszą się gromadami genijusze, rusałki, świtezianki, co napełniają naturę całą, ziemię i niebo. Lecz myślę, że silniéj jeszcze zradzają się te jestestwa duszy naszéj w godzinach wieczornych późnéj jesieni, gdy lasy zahuczą niby sejmem duchów natury, gdy drzewa, gdy gałęzie z sobą się swarzą — gdy wicher na niewidomych skrzydłach szaleje po żyjącéj naturze, pędząc przed sobą słupce liści zdartych, zakręcając je wirem; gdy wpadłwszy do mieszkań ludzi jęczy, stęka, skarzy się i kwili, niby upiorów czereda; gdy mgły gmatwają się w utwory dziwaczne, w olbrzymy pląsające po równinach, a gdy księżyc, jakby gnany przestrachem po przez niebo rozdartych obłoków, to chowa się za chmur szmaty, to niekiedy przez szczeliny, niby przez okna, na nas spoziera i znów się kryje, ba! wtedy sama się powieść złoży, i byle mieć trochę wyobraźni, świat napełni się jestestwami dzikiéj fantastyczności i uniesie nas do innych, nadrzeczywistych krain. Chwil takowych doświadczał każdy młodzieniec, z duszą świéżą i ciepłą doświadczała ich téż literatura cała, póki i ona była młodszą, świeżą i ciepłą. Dość ci spomniéć o XI i XII wieku, gdy świat, jakby ogrody na wiosnę kwiatami, ustroił się w romanse i powieści cudo-tworne, a one czasy złote, gdy z duszy Arijosta zrodził się Orland szalony! a z myśli potężnéj Szekspira wyskoczyły dzieła przedziwnych uroków i barwy, jak *Burza* i *Sen nocy letniéj!*

Zawsze jednak te zjawienia i postacie nadprzyrodzone

nabierają dopiero wartości prawdziwéj i głębokiego znaczenia, jeżeli one wyrażają te uczucia, co w nas żyją i bez nstanku pracują, bo wtedy jedynie człowiek jest czynny przez się samego i działa przez siebie. Wszelkie zaś powieści fantastyczne, nie mające téj głównéj cechy, muszą być, mimo talentu autora, mimo polotu imaginacyi, zawsze czemś czczém, powierzchowném i prozaiczném, bo cóż już może być więcéj prozaiczne jak posłuszeństwo potęgom przyrodzonym i widziadłom, które lada gdzie, lada komu, lada kiedy, wedle upodobania autora się zjawiają i przynoszą rozkazy dla bohatera powieści, które znów ten-że ślepo wykonywa. On sam jest jedynie ciemném i bezwolném narzędziem tych widziadeł, czyli raczéj autora samego. Nic łatwiejszego jak pisanie podobnych powieści, byleby samopas puścić imaginaciją, byleby ją rozpoić obrazami rozuzdanéj fantazii i t. d. i t. d.

Powtarzamy, podobne cudne obrobienie i oddanie szczegółów, jest zaletą tak niepospolitą, tak ważną, tak wielką, iż choćby tylko tę jednę miał autor, jużby na uznanie, na wdzięczność spółziomków zasługiwał; ale jakże bolesno jest, że nie całe dzieło, że nie wszystko w tym dziele na bezwzględne uwielbienie zasługuje, że stanowisko, że dążenie nie jest w harmonii z cudném obrobieniem szczegółów i przerozumowaniem miejsc pojedynczych.

Przytoczym jeszcze urywek o malarzu naszym *Stachowiczu*, z miejsca, w którém autor mówi o przebijaniu się ideału w postaciach na pozór z natury zdejmowanych — o Liście IX str. 303.

„A Stachowicz? tu już nie mówmy o fizijonomii, bo téj nié ma w obrazach Stachowicza, kilka krések na przypadek i śmiech rzucone stanowią jego twarze, patrz zaś na kontury i zarysy jego figur — tu życie — tu prawda. Widzisz to krakowskie wesele, słyszysz głos cymbałów i dudów, i skrzypka, co sobie rznie od ucha, i krzesanie podkówek i brzęk

kółek u pasa? — słyszysz jak pan młody i drużby krzykają? — a tak téż tym parobkom i dziewczętom do serca, iż widać że wierzą iż nie ma jak oni na całéj kuli ziemskiéj, że oni nie tam lada *jacy tacy* lecz istotnie *chłopcy Krakowiacy*, że to są ludzie do wszystkiego, zapomnieli i te znoje swoje, i te troski, a z głębi duszy swéj wykrzykują i bawią się — i oni z rzeczywistego koła świata wyniesieni w świat poezii, w świat ideału. Ale bo téż trzeba było znać Stachowicza! My, będąc dziećmi, widywaliśmy go jeszcze jak sobie chodził w sutéj sukmanie, z rogatą, kipiastą, w tył się mającą czapką, i z wysoką trzciną w ręku; a dopieroż, gdy na processyi niosąc baldakin, w całym swym blasku występował patrząc się na ten świat tak jasném, tak miłującém okiem, iż znać że nim się radością poił.— A śmigał téż pęzlem hożym i nagłym, a wszędzie téż z równą ochotą — z równą pilnością malował." — „Czy u wielkich panów — mówi daléj autor — czy téż gdy „szło-by na przedmieściu ubrać zewnętrzną ścianę figurami."

Wydanie dzieła jest ozdobne, papiér piękny, druk dobry.

E. Dembowski.

WIADOMOŚĆ
O ŻYCIU SOLSKIEGO.

Część druga.

Przystępujemy do rozwagi dzieł Solskiego. Z tych uwagę naszą zwrócą Geometra i Architekt, jako najważniejsze i w mowie polskiéj pisane; Geometra najprzód nas zajmie.

W Geometrze, jak spomnieliśmy, są zawarte trzy księgi. Z tych każda na części podzielona, zawierające poddziały na zabawy, części, i rozdziały. Zabaw jest czternaście. Zabawa piérwsza np. poświęcona „dla łatwiejszego wyrozumienia słów własnych (t. j. właściwych) zabawom swoim“ — zawiera części trzy, z tych w piérwszéj podaje „zebranie terminów geometrycznych porządkiem liter w *obiecadle*“ w drugiéj wypisuje definicye“ w trzeciéj „podaje sentencye albo prawdy, dowodów niepotrzebujące przez to, że są przez się jasne. Ażeby poznać ducha dzieła, zastanówmy się nad jego układem. Po pierszéj zabawie uczy nas autor „rysowania i dzielenia wszelkich linij“ — daje nauki o Angułach“ (kątach) — „rysuje wszelkie figury płaskie“ „przemienia figury płaskie jedne

w drugie" „podaje własności figur tak płaskich jako i pełnych" t. j. brył — „uczy wymiaru wszelakich linij, długich, wysokich i głębokich." — „Mierzy obwód każdéj figury płaskiéj" „wynajduje wszelkiéj figury płaskiéj pole albo plac, obwodem otoczony" — „Granice, grunty, budynki, fortece i t.d. na mappy i abrysy przenosi." „Dzieli pola albo place wszelkich figur płaskich na części, według upodobania albo potrzeby, lubo równe, lubo proporcyonalne, rozciągając swój przemysł i do gruntów granicznych w podziale ich na łany, półłanki i ćwierci." „Daje sposób wystawiania figur pełnych albo brył; i one mierzy, dzieli, przemienia i na płaszczyźnie rozciąga — legary słoneczne stawia, i nakoniec w zabawie XIV arytmetyczne reguły, rzadko ich używającym przypomina, a niewiadomych rachowania wszelkiego z gruntu uczy.

Te XIV zabaw rozłożone są na trzy księgi: piérwsza zawiera od zabawy 1 do IV, druga od VII do XI, trzecia od XII do XIV, która jest ostatnią w Geometrze Solskiego.

Zbytecznêm byłoby podawać poddziały wszystkich zabaw, wybierzemy jednę, i téj osnowę dokładniéj, ile możności, według słów samegoż Solskiego podamy.

Zabawa druga, naprzykład, dzieli się na rozdziały cztéry w części swéj piérwszéj, w części zaś drugiéj nié ma innych poddziałów nad tytuł: O dzieleniu linij. — Rozdział 1, części piérwszéj, zawiera „O rysowaniu linij prostych i krzyżowych. Rozdział drugi „O prowadzeniu linij równoległych. Rozdział 3 „O wynajdowaniu linij proporcyjonalnych. Rozdział czwarty „O rysowaniu linij cyrklistych." Ten ostatni zawiera. „Konchoidę albo konchę, to jest liniją taką cudowną zrysować, która poczynając się blisko drugiéj linii prostéj, i do niéj się w pociągnieniu zawsze zbliżając, z nią się nigdy zejść nie może." Wężownicę prostą zrysować — wężownicę architektonicką zrysować. Wężownicę Archimedesową zrysować, liniją kwadrującą cyrkułowe lunety zrysować. Lunety cyrkułowe nie-

pomierne wystawić.—Część druga zawiera następujące zadania: liniją daną rozdzielić na dwie części równe. Liniją prostą daną, na wiele chcesz części równych podzielić. Drugi sposób takiegoż podziału: Liniją daną, na części dane parzyste podzielić poprostu, snadno i prędko. Liniją swobodnie do podziału wziętą, na wiele danych części parzystych albo nieparzystych podzielić, snadno i prędko. Nowy sposób geometryczny podzielenia linii danéj na wiele chcesz części, snadniejszy i doskonalszy w używaniu, niżeli dwa poprzedzające. Daną liniją podzielić w ten sposób, jako drugiéj linii część jest podzielona, i oprócz tych, jeszcze trzydzieści nauk zawiera ta część, z których, kilka wypisujemy.

Oto dalsze wyliczenie. — „Z danéj linii część nakazaną wyjąć, daną liniją według nakazanéj proporcyi podzielić, jako druga dana, mniéjsza albo większa, jest podzielona, lubo na równe lubo na nierówne części; daną liniją podzielić geometryalnie na dane części nieparzyste. Liniją daną rozdzielić na dwie nierówne części, żeby część mniejsza tak się miała do części większéj, jako taż większa do całéj, to jest: skrajną i średnią proporcyją — i znów daléj daną liniją podzielić na mniejsze, a mniejsze części tą proporcyją, którą substansy albo cięciwy lutent wpółcyrkule dzielą pół dijametr: krzyżowy całemu dijametrowi i t. p. i t. p.

Przypatrzmyż się teraz rozkładowi Archytekta. Ten zawiera *Zabawę piérwszą* „Około zmniejszenia i ulżenia ciężarów przy ich przeprowadzeniu z miejsca na miejsce, wciąganiu do góry i spuszczaniu na dół, i o piętnastu instrumentach albo machinach ulżywających ciężary z ich używaniem, — cała nauka tu zawarta wyborna, choć nieporządnym rozkładem zagmatwana jest: *Zabawę drugą* O machinach prędkich, które prędkością przyczyniają ciężkości. Jakie są młyny wodne, bydlęce, wietrzne, siły wodne, kołowroty kuchenne, zegary i tym podobne; tu autor rzecz swoję na trzy części podzielił: O po-

cząłkach i własnościach należytych do kół, które w prędkie machiny wchodzą — O rozstawianiu palców i zębów na kołach małych. O młynach wodnych — O młynach konnych i wołowych — O młynach wietrznych albo wiatrakach — O młynkach ręcznych — O piłach wodnych i bydlęcych do rzezania drzewa—O różnych biegach i ich skutkach—O instrumentach podróżnych do mierzenia odległości miejsc różnych. — *Zabawa* zaś *trzecia* o *wodzie,* zawiera części: O własnościach wody — O znalezieniu wody w ziemi.— O prowadzeniu wody po ziemi i ważeniu wód ciekących — O ciągnieniu wody z studzien — O pędzeniu wody na wysokie miejsca — O wynalazkach wodnych Jacobi de Strada a Rosberg — O fontannach — O zegarach wodnych, i nakoniec o różnym używaniu wody.— W ogólności, duch praktyczny, dzielny, przerozumowany, wyrobiony, sparty doświadczeniem, tchnie w całym Architekcie. Szkolnictwo i pleśń łaciny w bezmyślnym układzie w przytępionéj myśli i dziwacznych, przydługich drogach rozwiązań, jawiąca się nie rzadko w Geometrze, tu już tylko bardzo rzadko, i to ledwie czasem w nieładzie, odmęcie układu się jawi, a myśli tu dziarskiéj i dziś jeszcze niezmurszałéj, na próżno szukać nie będziesz.

Nie mogąc, z powodu zakresu czasopisma, w bliższe rozbiory dzieł wzmiankowanych wchodzić, przytaczamy przykłady obrobienia szczegółów przez Solskiego.

Naukę o przydawaniu liczby wyjmujem z Geometry. „Wtóry sposób rachowania jest przydawanie liczby, którego uczą wiersze następujące:

1. Przydawanie jest wielu w summę liczb zebranie,
   Niech tedy w prawo *jednosć* pod jednością stanie.
2. *Dziesiątek* pod *dziesiątkiem,* a *sta* więc pod *stami,*
   Tysiące (jęśli będą) kładź pod *tysiącami.*
3. Zbierz każde z osobna, *jedność, dziesiątki,*
   Sta, tysiące, policzysz wydatki lub wziątki

4. Gdy z rzędu krom *jedności, sta, dziesiątki* wyjdą,
Te na stronie zachowam, albo w górze przydam.
5. Poprzedzających rzędów *jedności* zebrawszy,
W swój-że rząd pod linijkę i one wpisawszy."

Wykład wiérszów — Rythma piérwsze, wiersz piérwszy uczy, że przydawanie jest wielu liczb w jednę summę zebranie, jakie zwykli czynić często w regestrach ekonomowie, podskarbiowie i szafarze. — Wiersz drugi i cały rythm wtory uczy, jakim sposobem mają być stawiane litery do przydawania i t. d. i t. d. Weźmyż teraz pod rozwagę rozwiązanie jakiego zadania z Architekta — oto: nauka o młynie wodnym, w którego koła środek woda bije. Gdzie woda nie może miéć skoku, tylko na półtora łokcia, tak, iż nie może spadać na wierzch koła skrzynczastego, niech rzemieślnik obróci koło skrzynczaste, aby się obracało nie od wody, ale ku wodzie, a wał jego niech postawi, ile woda dopuści, znacznie niżéj od koryta, i jego koniec niech tak zastawi, żeby spodem koryta (nie gębą jako w figurze) w same skrzynki prosto wypadała, jako więc z dziur spodu wypadać zwykła. Gdyż takowym przemysłem, woda, nie tylko ciężarem swoim, ale i impetem albo pędem, wiele przemoże przeciwko kołu.

Tu więc już wykład jasny, czysty, dzielny; a nie jedna jest myśl i w Architekcie i w Geometrze, jak na ówczas nowa, a zawsze samodzielnością celująca i naukowo ważna. — Ileż więc tu sprzeczności razem skupionych, ile niedorzeczności przy myślach świeżych; zaprawdę, często wydaje się, (lecz tylko pozornie zaiste) że nie jeden, lecz dwóch zupełnie różnych mężów, jeden dzielny drugi śmieszny, nad temi księgami pracowało.

Część trzecia.

Śpieszymy jak najprędzéj do celu, bośmy cię musieli znudzić czytelniku, prawieniem o dziełach, które cię nie obchodzą wcale, chyba żeś biblijoman, albo matematyk, chcący znać historiją swéj nauki, — ale jeśli tak jest, toś zapewne oddawna o tém wiedział, co ci powiedziéć chcieliśmy, cośmy ci powtórzyli; — w tym przedziale mamy ci prawić wedle przyrzeczenia o stanowisku, o rozwijaniu ducha jego — wyprowadzoném z porównania prac jego i spółczesnego stanowiska matematyki, lecz z tego nic prawie nie dojdziemy, bo XVII wiek dla matematyki, choć może wiele jéj się zasłużył, nie był wiekiem dzielnego rozwijania się — owszem, Solski był w nim jednym z najznakomitszych matematyków, — cechy dzieł jego są piętném charakterystyczném jemu spółczesnéj matematyki, która z owéj pół rozumnéj, pół arlekińskiéj wierszowatéj sukienki, jeszcze cię wydobyć nie mogła. — Ow odmęt przy myślach niekiedy błyszczących i w Solskim, i w całéj jemu spółczesnéj matematyce spotykamy. Porównanie zamierzane przez nas nie może więc do niczego doprowadzić. Lecz spojrzmy pilnie, krytycznie, na same dzieła Solskiego, a spotkamy tam tętno serdeczne życia, które nam zagadkę istoty i charakteru, stanowiska i żywota Solskiego, w jednym rzucie wyjaśni, a chociaż niedostatecznie, choć życiopisu nie otrzymamy, ty czytelniku, może przestaniesz żałować zmęczenia oczu nad czytaniem mègo prawienia o Geometrze i Architekcie, ja może atramentu wylanego na to, com już napisał, żałować nie będę — bo oto! Spojrzmyno tylko pilnie na owe folijały pięknych pomysłów, zgmatwanych mgłą, niedającéj się prawie pojąć niedorzeczności, na ów bezład

przy głębokiem rozumowaniu, na ów komiczny wykład arytmetyki wierszami przy prawdzie, która całą siłą z pism Solskiego, i to nierzadko, tryska,— nawet na ogół dzieł jego, ową mięszaninę łacińskich i polskich, treści ascetycznéj i matematycznych prawd, a zaiste, wypłynie nam jaśnie postać Solskiego, poważna i wielka, bo jako męża, wktórym się straszna walka i starcie odbija cywilizacyi naszéj, samorodnéj, z cywilizacyją łacińską; te dwa przeważne żywioły walczą z sobą, i całą siłą swą uderzając się wzajemnie, pomiatają się, bądź jawiąc się w sposobie oddania osnowy, bądź w pomysłach, bądź w przedmiotach przemyśliwanych przez męża, który je w łonie swém roziskrzył, i rozdmuchał namiętnością do nauk w wielki pożar. — Solski jest obrazem ostatniego wysilenia, w ówczesnéj epoce cywilizacyi samorodnéj, chcącéj przezwyciężyć na polu naukowém obcą, łacińską cywilizaciją: Dla tego, odrzucając napuszoną łacinę, chce pisać mową własną, mową ludu, lecz oto — żywioł obcy całą potęgą swoją przytłacza jego ducha, porywa go znowu w odmęt łaciny, pisze więc Solski rozprawy matematyczne po łacinie — co więcéj, duchownéj treści książeczki płyną z jego pióra. — W układzie dzieł polską pisanych mową, żywioł łaciński silnie się przebija, a jednak, jak piękny, jak miły sercu widok téj walki, tego wysilenia, jakie Solski przedstawia; on z powołania oswojony z łacińską oświatą, przebywający długi czas w Turcyi, on przełamuje wpływ pasożytnego pierwiastku, spolszcza o ile może, i myśli i słowa, nieraz tak piękny wysnuje nam pomysł, walczy na polu naukowém z tak potężnym, i już samorodną oświatę niszczącym żywiołem, jakim była w onéj epoce cywilizacija łacińska. — Z tego stanowiska pojęte i zrozumiane prace Solskiego, nie jeden rys jego żywota, nie jednę jego myśl głęboką i bieg rozwijania się jego ducha, wskazują — przypatrzmy im się tylko, a już i ów wykład wierszowy, i ów rozkładu zamęt, i myśli wielkie w innym nam się

ukażą świetle, i każda zgłoska dzieła, o życiu pełném burzy, i myśli naukowéj rozerwanéj, na dwie strony dwoma sprzecznemi pierwiastkami, świadczyć będzie.

Cóż jednak rozumiemy przez tę cywilizacją własną? co przez łacińską, na któréj stanie chcieliśmy zwrócić uwagę czyteln.ka w życiu Solskiego i pismach jego? W rozwadze krytycznéj dziejów, znajdziemy na to odpowiedź — zapuśćmy myśl w owe, w mgławéj przeszłości czasy — w owe półsenne mythyczne spomnienia, w pół prawdziwe podania wieków przedchrześcijańskich słowiańszczyzny. — Ludy słowiańskie na drobne rozerwane cząstki były złączone wiarą jedną, mową, prawem, dziejami jednémi — mogła się jednak wyrobić własna cywilizacija, pod którą to nie uobyczajenie lub — broń Boże! — polor rozumiemy; nie postępy nawet oświaty, lecz wprost uspółecznienie w najrozleglejszém znaczeniu wyrazu uważamy. Ta pierwotna nasza cywilizacija nie była i nie mogła być zupełnie samorodną. — Była to samorodność z pierwiastkiem czysto słowiańskim zmięszana — była tam więc walka dwóch żywiołów — a już te w swéj burzliwéj doli, starciem zwaśnić się ostatecznie miały, i potém jeden upaść, drugi się ostać zwycięzcą, — gdy światło wiary Chrystusa — Zbawiciela ziemi — zabłyslo na naszych przenicznych obszarach, ale z nią i cywilizacija Europy owczesnéj, cywilizacija, którą zowiemy łacińską. Ów feodalizm, owa rycerskość i t. d. i t. d. nawałem chciały się wcisnąć, zwalczyć dotychczasowe uspółecznienie — napróżno jednak, przeszłość nasza nigdzie i nigdy stanu feodalnego i t. d. — słowem: cywilizacyi czysto łacińskiéj nie przedstawia — samorodny żywioł walczył dzielnie z łacińskim, ostatni więc zmodyfikował się, osłabł — i w chwili, gdy już samorodny żywioł upadał, łacińskość zmodyfikowana, rozpanoszała się — a owóż i zaranie trzeciéj epoki uspółecznienia naszego błysło: przed cywilizacją francuską pierzchła łacińska w krainę upiorów — a i francuska peruka niedługo po niéj ostać się zdołała.

Owe starcia się różnych żywiołów w każdéj dziedzinie, dostrzedz można w naukowéj; Solski jest jednêm z wybitniejszych jéj ogniw; — pod tym względem godzien jest głębszego zastanowienia i uwagi badaczy i miłośników starożytności, pod tym względem, widząc jego ważność, chcieliśmy podać wiadomość o jego życiu, aby ktoś mógł następnie jego charakterystykę, jego żywot skreślić, a ręczymy, że nie byłaby to jałowa i bezowocna praca, bo zaprawdę, nie każde starożytnicze badanie jest czczém bawidełkiem, lub ową mydlaną bańką! mogącą zajmować ludzi fachowych, a nikłą i rozpryskliwą dla serca ogółu. — Trzeba się tylko chwycić strony żywotnéj, a nawet w *Nowych Atenach,* nawet w *Rozprawie* czy *pisać komedija, czy komedyja?* można ją napotkać i ku pożytkowi powszechnemu wygrzebać.

Zakończając tę rzecz, nadmienimy jeszcze, iż nad jedną z jego rozpraw matematycznych, położyła jakaś ręka, zdaje się spółczesnego jemu, taki wiersz:

Gdy cię czytam *latine,* rozumiem co czytam,
Gdy cię czytam po polsku, wzdy pytam:
Dla czego było pisać ci tak, aby każdy
Scyjencyi sekreta, mógł pojmować zawzdy?
Więc nie lepiéj dla kilku zachować naukę
Niż każdemu udzielać tę cudowną sztukę? —
Ojcowie nasi lepsi aniźli my byli,
Boć *scyjencyi* przed ludzi tak nie marnowali,
A on mędrzec *philosoph* — ów *lumen* Grecyi,
Arystoteles pytał księcia Macedonii:
„Dla czego, gdym cię nauczył tak wiela
„Każdemu rozpowiadasz? — ni dla przyjaciela,
„Ni dla ciebie nie chowasz? — oj przypomnisz sobie,
„Że będzie z tego wielki *lament,* panie, tobie!“

Nie małaż zasługa Solskiego, że na takie myśli nie zważał, a w swym czasie postępowy — według sił bronił samorodnéj własnéj oświaty.

Kronika Piśmiennicza
POLSKA.

170. *Słowiańskie starożytności P. J. Szafarzyka, przełożył z czeskiego Dr. H. N. Bońkowski Tom I, w 8. str.* 742. *Poznań wydanie i druk W. Stefańskiego* .

Doczekaliśmy się nareszcie nadejścia ostatnich zeszytó w przewybornego i czystością mowy celującego przekładu, ważnego dla dziejów naszych dzieła. Obszerny rozbiór i uwagi nad niém niebawem zamieścimy. Na teraz dodamy, że p. Bońkowski ma prawo do wdzięczności naszéj za podjętą około spolszczenia tego dzieła pracę. Spolszczenie to wyborném jest. Okwituje ono w słowa własne, nowe, zastępu-

jące obczyzny, między któremi zasługuje np. na uwagę wyraz *Powódca* czyli *Autor*, wyraz przewyborny, któryśmy zaraz przyjęli i zaczęli używać, a który tak oburzył wrogów samodzielnego rozwinięcia się języka, źeśmy musieli, mimo najlepszéj chęci, przerzadzić używanie tego wybornego wyrazu, bo wielu nie chciało go odróżnić od wyrazu prawnego *Powód*. Wyraz *Powódca*, naszém przekonaniem, jest wyborny, i takowy wprowadzić powoli w mowę będzie naszém usiłowaniem.

171. *Athenaeum, pismo zbiorowe, poświęcone historyi, filozofii, literaturze, sztukom i t. d. Wydawca J. I. Kraszewski. Wilno u Glücksberga. Oddziału drugiego Tom V str.* 155, *T. VI str.* 174. *roku* 1842. *Oddziału trzeciego Tom I str.* 207 *roku* 1843.

Przechodzimy w porządku zeszytów, czyli tomów, artykuły w takim ciągu, w jakim są zamieszczone. Naprzód spotykają nas parafrazy Hegla przez Tytusa Szczeniowskiego, w urywku tu zamieszczonym, téż sąme piętna, co i w dawniejszych, téż samo, co i w artykule o prawach konieczności, tom VI rozpoczynających. Uderza szczególniéj niepospolity talent jasnego tłumaczenia najoderwańszych myśli, które wykłada Tytus Szczeniowski według pojęć filozofii bezwzględnego stanowiska, a jest to niepospolita zasługa, rzadka a bardzo ważna zaleta. — W dziele historyi widzimy materyjały historyczne, spisane z autentyków biblijoteki cesarskiéj w Petersburgu, przez Z. A. Lachowicza, w zeszycie zaś VI listy tyczące się księżny Zofii Słuckiéj, udzielone przez tegoż; daléj cztéry listy Hieronima Chodkiewicza do Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła; materyjały do historyi panowania Jana III z rękopismu spółczesnego. Wartość tych materyjałów, jakkolwiek może być wielką, jako zasobów nieobrobionych krytycznie,

traci, a w ogólności, powtarzamy już po raz setny: ani dla czasopisma, ani dla pisma zbiorowego, zgoła wytłaczanie podobnych zasobów nie jest stosownêm. Cieszy nas przeto wielce, że p. Kraszewski w prospekcie na oddział III Athenaeum oświadcza, iż odtąd materijałów historycznych drukować nie będzie z powodu, że takowe wydawać będą w swoim zbiorze A. Przezdziecki i M. Grabowski, — jakoż dział historyczny bardzo się polepszył z powodu wyrzucenia nieobrabianych materijałów, zaraz w tomie I oddziału III. Tam urywek, ale wyborny, W. A. Maciejowskiego: Wzgląd na zabytki pogaństwa w Polsce — a jeszcze lepsze i ważniejsze: Badania podań ludu. Pamiatki Ukrainy E. Izopolskiego znajdują się. Ostatni artykuł wróży nam błogą chwilę, w któréj krytyczny pogląd na dzieje się rozwinie, jako bliską nadejścia. — Nadto, znajduje się w tym-że zeszycie: *O podziale i organizacyi pracy* przez *** rzecz przewyborna lubo niedokończona, a za któréj ukończeniem obszerniejsze uwagi zamieścimy nad tym, dotąd ślicznym artykułem, ze znajomością przedmiotu i duchem krytyki skreślonym.

Oddział literatury jest tą razą we wszystkich trzech zeszytach najbogatszym, bo prócz wymienionych już działów, są jeszcze tylko sztuki, w których: O światłocieniu (t: V) i Pinakoteka w Münich (t: I oddz: III) K. J. Komornickiego i Rozmaitości; (w zeszycie I): O źródłach ruskich skazek Romualda Podbereskiego i Druskienniki (miejsce wód) przez ***, artykuły bez żadnéj wartości, wyjąwszy jednak wiadomości o Pinakotece w Münich, lubo ta przetłomaczoną jest żywcem z sprzedających się na miejscu przewodników podróżnych, a zawiera zdania dziwaczne, np. o Rubensa sądzie ostatecznym, z dodatkiem uwagi autora o sądzie Cornelijusa w kościele Św: Ludwika. Już głową naszą ręczymy autorowi, że sąd ostateczny Rubensa bez porównania jest od Cornelijusowskiego wyborniejszym. — Oddział literatury — ostatni pozostający nam do

przejrzenia — zawiera: w tomie V, Charakterystyka pani Sand przez Eleonorę Ziemięcką. Autorka, z żalem naszym, (bo szkoda zmarnowania jéj pięknego talentu) zatopiona w pijetyzmie, potępia panią Sand, tę najgenijalniejszę z kobiét, uważając wielkiego genijusza, snadź jako bańkę mydlaną, którą lada powiew roztrąci. Ależ, na miłość Boga! czyż nigdy się nie przekonają tego rodzaju i stanowiska krytycy, że genijusz, to nie cacko? że nie można się pytać genijusza, czemuś ty wesoły albo smutny? czemu nie wzdychasz? lub czemu się nie śmiejesz? — bo zbicie takiéj krytyki ograniczy się na dopisaniu w nawiasie znaku zapytania (?) przy pytaniach krytyka, i cała polemika zakończy się jak walka Don Kiszota z wiatrakami. Ależ, zaprawdę, nie czas już Don Kiszotyzm wskrzeszać, bo na zegarze filistrów wybiła już dwunasta! Gdyby autorka badała, czemu pierwiastek czynu przeważa w autorce Horacego nad pierwiastkiem czczych westchnień, rozumielibyśmy panią Ziemięcką, uwielbili, choćby nawet błędnie rzecz tę rozwiązała, ale dziwimy się, że wprost czyni ztąd zarzut pani Sand, że jest raczéj wesołą (t. j. nierozpaczającą) nie smętną! Szkoda talentu pani Ziemięckiéj, że na pole literackie występuje, trzymając się pod rękę z owym snem w Podhorcach, ustrojonym w pudrowaną peruczkę i kurtkę, skrojoną *à la* Mefistofeles, i z owym pół-ckliwym, pół-śmiesznym, zapleśniałym Walterskotyzmu płaszczykiem, jednego z krytyków (M. Gr.) i z przesławnym w swojéj uniżonéj koteryi, Bejłą!

Restauracija, komedyjka *Karola Drzewieckiego,* bawi wesołym, dowcipnym i pełnym życia biegiem. Jest to obrazek domu, gdzie faworyt pana, i faworyłka pani rządzą wszystkiem, i nauczyciela biednego sieroty i syna pańskiego, wyintrygowali już z domu, — gdy się ich przewrotność odkrywa, i wszystko dobrze się kończy. Antoni Przecławski, bijografija przez *J. Em. herbu G.* jak wszystkie herbowne bijografije! — a *Pożegnanie,* wiersz *Cypryjana Norwida,* słaby kończą oddział literatury

w tym zeszycie. Następny w tym oddziale zawiera: O niektórych wyobrażeniach literackich dzisiejszych czytelników, przez W. W: — rzecz dosyć dobra, w odkreśleniach ideału bardzo trafna: porównywa artystę do kochanka — mówiąc, że jako kochanek w lubéj widzi więcéj niźli jest, tak o tyle więcéj artysta w swoim przedmiocie widzi — tworzy więc z niego ideał. Gustawa Olizara wiadomość z przekładem wyjątków z powieści Maksyma d'Azeglio p: n: *Niccolo de Lapi,* jest interessującą, — mniejszéj wagi: dwie skaski przez R. Podbereskiego, Historija Sawki przez Kraszewskiego, a całkiem mierne przerobienie (!!?) pieśni i dum wołyńskich przez A. Słowikowskiego i poezije pośmiertne S. Winnickiego.— Tom I oddziału III w przedziale Literatury zawiera: Panna Katarzyna w długach, komedyjka zabawna Korzeniowskiego, tym więcéj interessująca, że autor sam siebie wprowadzana scenę — Wyjątek z powieści, Banita, Kraszewskiego — i przekład opowiadań Mało - rossyjanina, przez Podbereskiego. Jakkolwiek dobre, wyjątki z powieści, ani przekłady opowiadań, nie są na swojem miejscu w piśmie zbiorowém. — Osnowę komedyjki Korzeniowskiego przytaczamy: Panna Katarzyna nié ma zwyczaju oddawać długów; pożycza raz od pana Korzeniowskiego trzysta rubli na kupienie łańcuszka dla jakiegoś sławnego fortepianisty na podarek. Pan Korzeniowski bierze od niéj kwit: iż jeźli za piérwszém odebraniem pieniędzy nie odda długu, będzie musiała przepisać, za pewną część téj summy, przez Korzeniowskiego obrany rękopism, aby się nauczyła cenić pieniądze, wiedząc jak ciężko na nie zapracować. Pieniądze nadchodzą — panna Katarzyna je wydaje, więc p. Korzeniowski na balu, przed sąd obrany wywodzi sprawę, którą wygrywa, — lecz rewers przedziera i walc zakończa komedyjkę. — Osnowę tak błahą i bezdążną uczynił autor prowadzeniem bardzo zabawną — np. daje taki przypisek. „P. Katarzyna wbiega do pokoju. P. Ko-

rzeniowski tymczasem przypatruje się obrazom i choć sam zostaje, jednak nic z sobą nie mówi“ — albo w scenie balowéj Korzeniowski mówi: — „Rzecz wytoczy się formalnie, panna Katarzyna ma prawo wybrać sobie trzy osoby, z których ja wybiorę sędziego, aby spór nasz roztrzygnął (niektórzy z gości dają o tém swoje zdanie, ale po francusku) i t. d. gdy p. Korzeniowski oznacza: aby jego dramata przepisywała panna Katarzyna, ta ostatnia mówi słowa jednego z krytyków. „Doprawdy, zabijasz mnie panie sędzio, to są kompozycyje z jakiegoś konwencyjonalnego niemiecko - angielskiego świata, których oryginały chyba na księżycu eksystować mogą. Charakteru narodowego, miejscowego, historycznego, podaniowego, zupełnie w nich niema, bo też ten pan usiłuje zawsze utrzymywać się, albo w obcych krajach i obcych dziejach, albo w kraju jakimś idealnym, który na mappie Europy nie znajduje się“ — tak tu talent i niczem potrafi zająć chwilkę.

Portret M. Grabowskiego przyłączony jest do Tomu I, oddziału III Athenaeum. *Ł.*

KORRESPONDENCIJA.

Piszą nam z Berlina, listem z Maja, o Nowościach paryskich w ten sposób: — „Lukrecija Ponsarda i Juditha pani Girardin są istnemi sprzecznościami, choć obadwa dzieła dramatyczne zajmują wielce, zdawałoby się że Lukrecija jest raczéj pióra kobiety, taką ma nieznośną jakąś miękkość, ale to się teraz we Francii podoba — Już się francuskim filistrom sprzykrzyły dzielne twory wielkich francuskich pisarzy — ale bo téż tych filistrów na całéj ziemi jest mnóstwo!

NOWOŚCI.

Znany poeta Kornel Malczeski zajmuje się przekładem pieśni i poezii Heinego. — Jeśli, o czém niewątpimy, przekład godnym będzie wzoru, zbogaci to niemało piśmienność naszą.